Nie wiem, jak długo stałem na ganku.

            Jednak wystarczająco długo, aby usłyszeć, jak krzak dzikiej róży, poruszany łagodnym wiatrem, ociera się o dom. Aby usłyszeć rechot żab w pobliskim potoku i ćwierkanie świerszczy w lesie. Wystarczająco długo, aby moje oczy zdążyły przywyknąć już do ciemności i do nocnych pogawędek żab i świerszczy, które mnie uspokajały. Tak więc po chwili czułem nie tyle przerażenie, które ogarnęło mnie na początku, co podniecenie. Podniecenie, że w końcu coś robię. Coś dla Meg i dla samego siebie, coś, czego nikt, kogo znam, nigdy nie zrobił. Myślenie o tym mi pomagało. Myślenie o każdej sekundzie rzeczywistości tego, co robiłem. Myśląc w ten sposób, sprawiałem, że była to w pewnym stopniu gra. Włamywałem się w środku nocy do domu, w którym wszyscy spali. To wszystko. Nie było tam nikogo groźnego. Nie było Ruth. Nie było Chandlerów. Zwykli ludzie. Ja byłem włamywaczem. Opanowanym, ostrożnym, skradającym się włamywaczem. Nikt mnie nie złapie. Ani dzisiaj, ani nigdy.

            Otworzyłem zewnętrzne drzwi.

            Zazgrzytały lekko.

             Otwarcie kolejnych nie było już tak prostą sprawą. Drzewo przeszło wilgocią. Przekręciłem klamkę, palce położyłem na ościeżnicy, kciuk kładąc na drzwiach. Pchnąłem je lekko, delikatnie.

            Zaskrzypiały.

            Pchnąłem jeszcze raz, mocniej i bardziej miarowo. Chwyciłem silnie za klamkę, lekko się przy tym odchylając, aby w momencie otwarcia, drzwi nie zadrgały i nie trzasnęły.

            Zaskrzypiały jeszcze bardziej.

            Byłem przekonany, że usłyszeli mnie w całym domu.

            Wciąż mogłem uciec, gdybym musiał. Ta myśl mnie pocieszała.

            Nagle drzwi się otworzyły. Wydały przy tym mniej hałasu niż pierwsza para drzwi.

            Nasłuchiwałem.

            Wszedłem na podest.

            Włączyłem kieszonkową latarkę. Schody zagracone były szmatami, mopami, szczotkami, wiadrami. Rzeczami, których Ruth używała do sprzątania, oraz słojami gwoździ, puszkami farb i rozcieńczalnikami. Na całe szczęście większość z nich stała po jednej stronie schodów, naprzeciw ściany. Wiedziałem, że schody były bardziej stabilne i mniej skrzypiały po stronie ściany wspartej podporą. Jeżeli miałbym wpaść, to właśnie tutaj, gdzie najłatwiej było o hałas. Zacząłem ostrożnie schodzić w czeluść piwnicy.

            Po każdym stopniu robiłem przerwę i nasłuchiwałem. Chciałem, by kroki nie miały określonego rytmu.

            Jednak każdy ze stopni musiał zaskrzypieć.

            Trwało to wieczność.

            Kiedy w końcu dotarłem na sam dół, serce waliło mi jak oszalałe. Nie mogłem uwierzyć, że nikt mnie nie usłyszał.

            Zbliżyłem się do drzwi schronu.

            Piwnicę wypełniał zapach wilgoci, pleśni i prania oraz czegoś, co przypominało zapach rozlanego zsiadłego mleka.

            Odsunąłem rygiel tak cicho i spokojnie, jak tylko to było możliwe.

Metal zgrzytał, równie głośno jak drewniane wejście.

            Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka.

            Dokładnie w tamtej chwili uświadomiłem sobie, dlaczego się tam znalazłem i co zamierzałem zrobić.

            Meg siedziała w kącie na dmuchanym materacu, oparta plecami o ścianę. Czekała. W cienkim promyku światła dostrzegłem, jak bardzo była przerażona oraz jak cholernie ciężki miała za sobą dzień. Do ubrania dali jej jedynie starą pomiętą koszulę. Nie miała na sobie nic więcej.

            Na jej nogach widać było ślady po nożu Williego.

            Miała krwawe linie i zadrapania skrzyżowane na wysokości ud, wzdłuż łydek. Sięgały kostek.

            Na koszuli była również krew. Głównie zaschnięta krew – lecz nie zawsze. Miejscami nadal z niej ściekała.

            Podniosła się.

            Podeszła do mnie i na jej skroni dostrzegłem świeży siniec.

            Pomimo tych wszystkich obrażeń, nadal wyglądała na niewzruszoną i gotową.

            Zaczęła coś do mnie mówić, lecz przyłożyłem palec do ust, uciszając ją.